

**JAKUB CZASAK**

XXXIX LO im. Lotnictwa Polskiego

Opowiadanie związane z cytatem - „Nie przeszkadzaj mi widzieć”

## **PIEŚŃ DLA RÓŻY**

Niebo spłynęło mrokiem. Czarny lewiatan, wyrodne dziecię Uranosa wylało swe nabrzmiałe cielsko ponad oblicze ziemi. Odezwał się głosem gromu a jego ryk wstrząsnął filarami nieba. Podpierając się na szrudłach utkanych z błyskawic uwolnił swój szal na krainę człowieka.

Mimo wczesnego popołudnia mrok zapadł o wiele wcześniej niż powinien. Czarny całun okrył wrzosowisko przeganiając z niego wszelkie życie. Pszczoły i osy zerwały się z kielichów kwiatów, króliki, jaskółki i skowronki w popłochu uciekały do swych nor i gniazd. Samotne lisy porzucały swe zaciśnięte w zębach ofiary by dogorywały na pastwie wiatru. Jedynie smętne mewy jeszcze krążyły ponad ziemią, stając do walki, której nie miały szansy wygrać.

Rozpoczęła się symfonia burzy. Preludium rozegrały delikatne piszczałki wiatru, teraz przy akompaniamencie smyczków traw uderzających jedno o drugie. Kotły gromu akcentowały każdą oktawę. Powoli natura budowała swoje dzikie crescendo. By chaos zastąpił porządek.

Nagle w dziką symfonię burzy wkradł się nieproszony gość. Zaczął wybijać powolne staccato, neurotyczny dźwięk końskich kopyt na tle kół szurających gorączkowo o ziemię.

Czarny lewiatan przystanął na moment zszokowany tym impertynenckim pokazem braku szacunku dla jego mrocznej sztuki. Po chwili jednak konsternacja ustąpiła miejsca gniewowi. Grajkowie orkiestry zaczęli uwijać się jak w ukropie próbując dotrzymać kroku życzeniom swojego kapryśnego dyrygenta. Pomięto skrypt, wyrzucono nuty, uderzono w gongi. Planowany chaos zastąpił miejsca chaosowi w stanie czystym. Jaki głupiec myślał, że mogłoby być inaczej?

Huraganowy wiatr rozbił się o dębowe ściany powozu. Siarczysty nahaj deszczowego pyłu smagnął małą wysepkę ciepła, pędzącą pełną drogą przez skołtunionie wrzosowisko. Woźnica zaklął siarczyście i splunął na wiatr, próbując jednocześnie wrzeszczeć na kobyłę by pędziła szybciej, smagnąć ją biczem po nogach, przytrzymać swój oklapły cylinder i zapiąć sobie płaszcz pod brodą.

Z boku powozu otworzyło się okienko i wyjrzała z niego młoda dama na oko ledwie po dwudziestce. Podciągnęła się zwinnie i usadowiła na progu okna tak, że w powozie zostały jej tylko nogi. Burza sfalowanych loków orzechowego koloru przykryła jej twarz a wiatr zaczął

targać tymi wspaniałymi kudłami we wszystkie strony. Klnąc ostro obiema rękami wygładziła włosy, prawie przy tym wypadając z powozu, zakreśliła się jednak z gracją i chwyciła prawą ręką relingu na dachu karocy. Drugą przytrzymała włosy marząc w duchu o jakiejś opasce.

– Zwolnij psi synu bo nas oboje pozabijasz! — wydarła się próbując przekrzyczeć wicher.

– Panienska nie gędzi a siedzi se zadkiem w środku bo jak ją zdmuchnie... - wtem karoca podskoczyła na jakimś podstępny wyboju tak, że całym powozem zatrzęsło jakby cegłą w pralce.

– Kulwa! - wyjąkał nieszczęsny woźnica próbując wypluć krew - jęsyk se ugłysełem!

– A uczył cię ktoś co to jest karma chامية?

No właśnie. Karma. Niezgorsze wyjaśnienie dla prawie wszystkiego. No bo zwykła historia o młodej damie z bogatego domu nowojorskich bankierów, wydziedziczonej po krótkim lecz burzliwym romansie ze skrzypkiem, zmuszonej pracować jako pokojówka w całkiem nowym stanie, nabiera niemalże poetyckiego sznytu.

Rose wróciła do powozu z westchnieniem. Wyrzała za okno. Nowa Anglia. Maine. Szalał wielki kryzys i powinna być naprawdę wdzięczna, że dostała tę posadę. Z drugiej strony...

Zadrzała. Zamknęła okno i owinęła się pledowym kocem. Te wrzosowiska wyglądają naprawdę ponuro a plotki o rodzinie Von Markov nie budziły optymizmu nawet w najbardziej naiwnej dziewczynie. Sięgnęła do kieszonki wewnątrz sukni i namacała małe zegarek z dewizką. Jedyna rzecz jaką udało jej się przemyścić z domu po tym jak ojciec ją wyrzucił. Na odwrocie było wygrawerowane motto jej rodu - „genua mea non”. „My nie klękamy”

Taa... Dziadek przewraca się w grobie. Rose uśmiechnęła się pod nosem, ale natychmiast zmarkotniała.

– Och Harry... gdybyś tylko nie był takim sukinsynem...

\*\*\*

Albert Herman Von Markov – najmłodszy z rodziny, siedział na klifie za rodową rezydencją. Oparty był o stary dąb a jego nogi zwisały bezwładnie kilkadziesiąt metrów ponad wzburzonym oceanem. Nie potrafił powiedzieć ile czasu tak spędził. Godzinę? Dwie? Cały dzień?

To było niczym sen. Przez chwilę nieomal mogłeś uwierzyć, że zasługujesz na coś więcej. Stałeś się na tyle arogancki by zacząć żądać. Czyżby nauka ojca naprawdę poszła na marne?

Albert podniósł butelkę whisky do ust. Pusta. Ze złością zacisnął na niej rękę. Gruchot szkła, przytłumiony przez opary alkoholu, brzmiał jakby dochodził z bardzo daleka. Nie czuł bólu, jedynie krew sącząca się po nadgarstku. Plamiącą mankiet koszuli.

Popełniliśmy błąd pozwalając wam wyjechać. Pozwoliliśmy byście zgrzeszyli.

– Zamknij się mamó, jestem prawie pewien, że sobie ciebie wyobrażam.

Ulegliście podszeptom Lucyfera! Wznieśliście synagogę Szatana pośrodku mojego domu!

– Odejdź!

Jezus wam tego nie wybaczy! Spłoniecie w ogniu jego gniewu! Będziecie płonąć za swe grzechy!

– ZAMKNIJ SIĘ!

Krew. Tyle krwi. Lała się po jego palcach. Tłustymi kroplami skapywała na trawę. Brudziła ciemną korę dębu kiedy próbował się podnieść. Albert odwrócił się od oceanu i oparty o drzewo popatrzył w stronę rezydencji. Jego matki tam nie było. Była huśtawka. Zawieszona na gałęzi, smutno kołysała się w takt burzowej muzyki. Deszcz padał niestrudzenie, zmywał krew z jego dłoni, koszuli, twarzy, kory dębu. Wkrótce po krwi nie pozostał nawet ślad. Tak. Krwi nie było. Było ciało. Wiszące pod sufitem. Z wybałuszonymi oczami, podrapanym gardłem, językiem wywalonym na wierzch...

Albert zataczając się poszedł do domu. Było mu zimno, był głodny, pijany, śpiący i zmęczony. Tak cholernie zmęczony.

\*\*\*

Rose przez ponad pięć minut dobijała się do drzwi zanim jej otworzyli. Kiedy tak stała na werandzie, zła i przemoczona, układała w myślach rozmaite składanki przekleństw jakimi obrzuci swoich pracodawców. Nie dość, że musiała woźnicy zapłacić z własnej kieszeni i nikt jej nie pomógł z bagażem, to jeszcze musiała stać tu na wietrze i w deszczu aż ktoś łaskawie wpuści ją do środka!

„Niech szlag trafi tych pieprzonych snobów!” - pomyślała słuchając jak drzwi są odryglowywane. „Taki afront! Za kogo oni się uważają?”

Już otwierała usta by dać upust zgromadzonej frustracji...

– Dobry wieczór.

Słowa ugrzęzły jej w ustach. Otworzył jej wysoki, przeraźliwie chudy starzec w znoszonym smokingu i poplamionej apaszcze. Twarz była pełna bruzd i plam, większość włosów powypadała, a te, które zostały, przypominały wysuszone na wiór chwasty. Jego oczy były wyblakłe i przygasłe. Bił z nich jakiś wszechogarniający smutek, nieludzka melancholia. Z jakiegoś powodu Rose nie mogła się skupić na tych oczach. Zawsze jakby bezwiednie uciekała wzrokiem w innym kierunku. Przypomniała sobie słowa, które lubiła jej powtarzać babcia. „Oczy to okna do duszy”. Nigdy wcześniej nie widziała człowieka z tak udręczoną duszą.

– Panienska wejdzie. W środku jest ciepło.

Rose z wahaniem przestąpiła próg. Kiedy weszła do tego majestatycznego budynku, wydawało jej się, że przez sekundę coś słyszy, jakby daleki odprysk odległego echa... Delikatny trzask napinanej liny.

Drzwi zatrzasnęły się za nią.

\*\*\*

Wiekowa rezydencja rodziny Von Markov była pełna wspomnień. Odrapane gobeliny, wytarte dywany, poobijane meble. Kompletly broni zawieszona na ścianach i wyblakłe portrety. Wydawać by się mogło, że na tym wszystkim ciąży stary duch historii. Poza tym jeśli się wsłuchać można było usłyszeć jak dom śpiewa.

Rose usłyszała to od pierwszej chwili. W dzieciństwie wyjeżdżała do babci, która mieszkała w schludnym domku na prerii. W nocy lubiła się wsłuchiwać w tę delikatną melodię. Szum wiatru rozbijający się o krokwie, delikatne skrzywienie desek podłogowych, cichutkie kroki piwnicznych myszy i echa głosów ludzi z dawnych czasów. W rezydencji dudniły tysiące głosów, zwielokrotnione echo setek wypowiedzianych w tych murach słów, po angielsku, francusku, niemiecku, w martwych dialektach plemion afrykańskich...

Niekiedy Rose słyszała śmiech i odgłosy zabawy. Miłosne westchnienia kochanków i gaworzenie dzieci. Jednak o wiele częściej mogła usłyszeć płacz, krzyki, desperackie modlitwy, bolesne łkania, wystrzały czy świst bata. A także coś czego nigdy w życiu nie słyszała. Brzęczenie. Jednostajny dźwięk, jakby bełkot pozbawiony słów. Nie był straszny. Właściwie daleki od tego. Irytował, dostawał się pod skórę, wciskał w uszy doprowadzając do szału. Milknął w najmniej spodziewanym momencie i powracał równie niespodziewany.

Mimo, że była tu już kilka dni, Abner – stary lokaj, który ją powitał był ciągle jedynym człowiekiem, którego do tej pory spotkała. Miała wobec tego mieszane uczucia. Sam fakt, że rodzina wydaje się jej niemalże unikać na pewno nie mógł wróżyć nic dobrego.

Z tego co udało się jej się wyciągnąć z chorobliwie milczącego lokaja, domowników było czterech: Albert – młodszy syn, Emily – środkowa córka i Edward – najstarszy z rodzeństwa. Był też pan domu – sir Lucius Alfred Von Markov. To do niego wysłała list gdy przeczytała w gazecie ogłoszenie, że szuka pokojówki. Wielkie więc było jej zdziwienie gdy dostała na swój list odpowiedź. A było jeszcze większe gdy odpowiedź okazała się zaproszeniem.

Nagle brzęczenie powróciło ze zdwojoną siłą. Wbiło się w uszy z mocą młota pneumatycznego, świdrując głębie mózgu, przebijając rdzeń kręgowy, rozbijając w proch wszelką swobodną myśl i zniżając całą wyrafinowaną maszynię ludzkiego systemu nerwowego do najbardziej podstawowego z instynktów; zezwierzęcając człowieka, aż pozostaje wyłącznie jedno uczucie. Instynkt tak stary jak sama Ziemia, prawdopodobnie nawet starszy. Strach. Paraliżujący, duszący, gęsty jak ropa naftowa strach.

Rose upadła na kolana dysząc ciężko. Objęła głowę rękami próbując powstrzymać nieludzki dźwięk. Chyba krzyczała, ale nawet jeśli, jej krzyk nie mógł przebić się przez wszechogarniającą kakofonię. Poprzez opary bólu poczuła jeszcze resztkę swej roztrzaskanej świadomości jak pękają jej naczynka w śluzówce a krew spływa do gardła. Obożecosiędziejczemuczemuczmuproszęprzestańprzestańprzestańmamozaśpiewajmikołysan  
kejestesjuzdżymchłopcemmnieniedługojużniebędziealemamoczemuciiikochany

Ty jesteś najlepszy. Ty jesteś najpiękniejszy. Nie jak ci heretycy. Ty jeden mi ufasz. Nawet twój ojciec się ode mnie odwrócił. Chodź. Pomódlmy się. Potem może ci zaśpiewam.

Cisza. Błogosławiona cisza. Rose oddychała głośno przez nos zapchany skrzepami. Leżała twarzą w kałuży krwi i wymiocin. Jej żołądkowi najwyraźniej krew nie pasowała. Była brudna, potargana, a jej fartuszek prawdopodobnie nadawał się do wyrzucenia, ale żyła, Boże, żyła!

Podniosła się na kolana, smarknęła głośno pozbywając się krwawej flegmy.

– Proszę, proszę. A kogo my tu mamy?

Rose podskoczyła gwałtownie ledwo tłumiąc krzyk. Jej nerwy były już w strzępach.

Na schodach prowadzących w dół, ciężko wspierając się na rzeźbionej poręczy stał młody mężczyzna, na oko dwudziestopięcioletni. Był niechlujny, nieuczesany i strasznie śmierdziało od niego alkoholem. Ruszył po schodach zataczając się i sapiąc przez zaciśnięte zęby. W rękę trzymał prawie opróżnioną flaszkę Jacka Danielsa. Miał łagodne rysy twarzy i profil przynoszący na myśl rzymskie popiersia, z wysokim czołem i orlim nosem. Nie był brzydkim człowiekiem. Właściwie, gdyby go umyć, uczesać, ogolić i ubrać w coś bardziej eleganckiego niż ta poplamiona marynarka mógłby być naprawdę przystojny. Podobnie jak jego siostra.

– Co tu robisz malutka? Przybyłaś w gości? – biorąc pod uwagę prawie pustą butelkę w jego rękę udawało mu się mówić zaskakująco zrozumiale – może się ze mną napijesz?

Rose nagle zachciało się wrzeszczeć. Kim byli ci ludzie? Jak on mógł tak po prostu pić, gdy wyraźnie działo się tu coś złego? Zapragnęła nagle wygarnąć temu śmierdzącemu opojowi co sądzi o nim, jego propozycji i całym tym domu. Niech się umyje, przebierze, wytrzeźwieje!

– Coś jakaś małomówna jesteś – uniósł butelkę do ust i upił łyk – wszyscy w tym domu tacy ostatnio małomówni. A ja im mówię: „dajcie se spokój, napijcie się” – wybuchnął śmiechem.

Śmiał się przez dobrą minutę. Rose wsłuchiwała się w jego pozbawiony wesołości, pusty śmiech. Słyszała jak powoli zamienia się w szloch.

– I mówię im, zawsze im mówiłem, ale oni nigdy nie słuchali. Nie chcieli słuchać – podniósł gwałtownie głowę. Jego policzki mokre od łez. Wypił jednym haustem pozostałości whisky i rzucił butelką o ścianę. Rose krzyknęła cicho gdy szklany odłamek uderzył ją w twarz.

W mgnieniu oka doskoczył do niej przyciskając ją do ściany. Poczowała jego dłoń zduszającą rozpaczliwy krzyk. Delikatną, nieprzywykłą do przemocy dłoń.

– Nawet teraz, po tym wszystkim nie chcą słuchać. Przeklęci głupcy – Rose czuła jego gorący, przesiąknięty alkoholem oddech na swej twarzy, kwaśny odór potu był obezwładniający. Wydawało się, że wnika przez pory w skórce, przesiąka ciało aż do kości, scalając się z jej ciałem – ona to wszystko zaczęła. Zawsze mną gardziła. Zaraziła ich swoją pogardą – Rose próbowała się wyrwać, próbowała kopnąć, uderzyć, lecz on przyciskał jej ciało do ściany z siłą imadła. Panika obudziła w Rose nowe pokłady energii. Krew skapująca z jej rozciętego policzka sprawiła, że wysliznęła usta z jego uścisku i wgryzła się w jego palec z determinacją szczura zapędzonego w koziego róg. Z sapnięciem wyszarpał dłoń z jej zębów i potężnie ją spoliczkował. Jej głowa odskoczyła jakby była zrobiona z gałganków i uderzyła o drewnianą ścianę. Skąd w tym złamanym człowieku tyle siły? Odsunął się od niej pozwalając jej zsunąć się na podłogę – zawsze mną gardziła. Tylko tata mi został, ale na końcu i jego mi zabrała! – pochylił się i ścisnął jej podbródek żelaznym uściskiem. Ich twarze dzieliło od siebie tylko kilka

centymetrów. Rose spojrzała głęboko w jego oczy. Były fiołkowe. Piękne i odległe, płonęły w swych zapadniętych dolinach ogniem kompletnego szaleństwa. Jakby ktoś pokrył ocean warstwą oleju a potem podpalił. Otworzył usta by coś powiedzieć. Nie zdążył.

Przeszkodził mu anioł. Runął na pięknookiego młodzieńca z rykiem gniewu. Jego jasnozłote włosy, długie do ramion mignęły niczym święty ogień. Zacisnął swoje długie eleganckie palce na karku pijaka i z niesamowitą siłą rzucił nim na słupek, którym kończyła się balustrada na półpiętrze. Pijak z jękiem osunął się na podłogę.

– Znowu grzeszysz Albercie?! Znowu poddajesz się słabościom ciała?! – jego głos był niczym grom. Takim głosem mógł przemawiać sam Bóg gdy zsyłał na Sodomę deszcz ognia – szatańskie nasienie! Pomyśleć, że wyszliśmy z tej samej matki! – anioł z krótkiego zamachu kopnął brata w twarz. Krew trysnęła z rozbitego nosa mieszając się z krwią już na schodach rozlaną – błagaj o przebaczenie! Tak jak błagałeś mamę! Może gdy okażesz skruchę Jezus ci przebaczy! – Albert uniósł kąciki ust w szyderczym uśmiechu.

– Pie... pie... dol się – wycharczał przez rozbite zęby.

– Ty małe gównie! – anioł opadł na swojego brata niczym sęp na świeże truchło. Chrzest. Trzask. Jego pięści spadały na twarz Alberta niczym grad – masz tu swoją pokutę wyrodku!

Kiedy skończył podniósł się z podłogi i dysząc ciężko poprawił okrwawioną koszulę. Był wysoki i chudy lecz nie w ten anemiczny sposób jak jego rodzeństwo, ale niczym rasowy atleta. Miał szerokie bary a pod jego koszulą można było dostrzec wijące się węzły mięśni. Był ubrany w białą koszulę, teraz obficie okrwawioną, z podwiniętymi rękawami. Z szyi zwisał mu srebrny krucyfiks a wokół prawego nadgarstka miał owinięty różaniec. Z tylnej kieszeni spodni wystawał modlitewnik. Odwrócił się w kierunku Rose. Zmierzył ją spojrzeniem jakim zwykle ranczerzy oceniają swoje bydło. Jego oczy były takie same jak Alberta.

\*\*\*

Rose syknęła z bólu.

– Jeszcze chwilę. Prawie skończyłem.

Siedziała w pokoju Abnera i gapiała się w lustro gdy ten swoimi sękatymi palcami zszywał jej ranę na policzku. Przedtem zajął się Albertem. Poskładał mu nos, zaszył pęknięty łuk brwiowy, przyłożył kompres do ciemniejących oczu. Robił to metodycznie a jego ręce były spokojne. Widać, że nie był to dla niego pierwszy raz.

Albert teraz spał niespokojnym, chemicznym snem, wierząc się i mamrocząc pod nosem.

Nie potrafiła powiedzieć ile czasu spędziła tam na schodach, obejmując kolana rękami i gapiąc się jak bąble krwi pękają Albertowi na wargach. Gdy Abner ich znalazł nie mogła mówić. Przynajmniej nie od razu. Nie pamiętała jak znalazła się w tym pokoju. Dopiero piekący dotyk lizolu na policzku zaczął przywracać jej świadomość. Rose dotknęła szwów na twarzy. Po czymś takim na pewno zostanie blizna. Rzuciła okiem na Abnera. Cóż, mogło być gorzej.

– Wylizę się? – Zdziwiło ją jak beznamiętnie zabrzmiał jej głos. Abner odwrócił się od niej ze zdziwieniem. Najwyraźniej nie spodziewał się takiego pytania. Prawdopodobnie nie spodziewał się, że Rose jeszcze kiedykolwiek się odezwie.

– Raczej tak – westchnął ciężko mierząc Alberta swoim zmęczonym spojrzeniem – nie pierwszy raz już tu leży. Zwykle Edward bił go tak by nie było widać, ale teraz... – przerwał i odwrócił się w stronę Rose – Musisz być zmęczona. Powinnaś się położyć.

Dziewczyna poczuła frustrację. Przełknęła jednak żółć w gardle i powiedziała spokojnie:

– Tak Abner, jestem zmęczona. A do tego głodna i przestraszona, ale chyba wiesz, że nie mogę tak po prostu pójść spać pod ten sam dach z pieprzniętymi... – przerwała by zaczerpnąć tchu, ale gdy zobaczyła wyraz twarzy starego lokaja głos uwiązał jej w gardle. Zamilkła. Nie patrzył na Rose. Patrzył na kogoś kto stał za nią.

– No dalej Abner – był to dziewczęcy, cichy głos podszyty nutką szyderstwa – wyjaśnij pani czemu ją tu sprowadziłeś. No dalej – Emily Von Markov wyminęła Rose i stanęła obok Abnera mierząc go szyderczym spojrzeniem. Rękawy sukni miała podwinięte odsłaniając rzędy blizn, starych i świeżych, ledwie zasklepionych. Z kilku nowych sączyła się krew ześlizgując się po palcach i dalej. Na brzytwę, którą Emily ścisnęła w dłoni. Ciężkie krople uderzały o podłogę – może opowiesz jej o naszej mamie, szalonej dewotce, która nawet gdy zdechła nie chce się zamknąć? Może o tym co ta suka zrobiła z Edwardem? Jak biła nas batem, goniąc po śniegu wrzeszcząc, że Bóg tak chce? No dalej Abner! Opowiadaj! – nagle brzęczenie powróciło, uderzyło niczym huragan. Albert jęknął z bólem, Abner skrył twarz w dłoniach, Emily skrzywiła się i wyrzuciła ręce w górę ochlapując pokój krwią – zamknij się dziwko! Zamknij się! Szczam na twoje przebaczenie! – chwyciła za brzytwę i przejechała nią mocno po swojej dłoni. Krzyknęła i upadła na kolana przyciskając krwawiącą rękę do piersi. Brzęczenie ucichło. Abner popatrzył z przestachem na klęczącą Emily i rzucił się do niej z bandażem. Nie broniła się. Cicho pojękując dała sobie wyjąć brzytwę z palców – nienawidzę tego – jej głos był słaby, jednak w spojrzeniu czaiło się zdecydowanie – sprawia jednak, że mama się zamyka. Taka to cena za odrobinę ciszy – odgarnęła sobie włosy za ucho zostawiając na nich czerwone plamy. Pociągnęła cicho nosem.

– Musisz ją stąd zabrać – powiedział Abner przerywanym głosem – Panią. Nas nie chcę do siebie dopuścić. Musi to zrobić ktoś obcy.

Rose zmierzyła wzrokiem ludzi przed sobą. Albert jęczał i mamrotał przez sen, Abner konsekwentnie unikał jej spojrzenia a Emily krzywiła się z bólu. Nie odwróciła spojrzenia gdy ich oczy się spotkały. Rose sama nie wiedziała czego w nich szuka. Czowała się oszukana. Po raz kolejny ktoś podjął decyzję za nią. Wyjęła z kieszeni zegarek na łańcuszku. „Genua Mea Non”.

– No dobra. Zrobię to.

\*\*\*

Brzęczenie nasilało się z każdym schodkiem. Nie był to jednostajny głos. Były momenty kiedy cichł, przyspieszał, zwalniał. Miał swój rytm. Prawie jak pieśń. Pieśń śmierci.

Kiedy stanęła na ostatnim szczeblu hałas był niemalże ogłuszający. Ostatkiem sił zmusiła się by zrobić te kilka ostatnich kroków. Jednakże kiedy stanęła przed drzwiami nie potrafiła

wykonać już żadnego ruchu. Czuła jak szalona pieśń zwija się dookoła niej niczym gęsta chmura. Wiążąc ją i pozbawiając tchu. Czuła się bezsilna.

Wtem pieśń zamilkła. Rose poczuła jakby ciężki, ołowiany kloc wbijający ją w podłogę wyparował. Odetchnęła głęboko.

– Dziękuję Emily – wyszeptała i szarpnęła za klamkę.

Ona tam wisiała. Widać było, że już od dłuższego czasu. Brzuch miała rozdęty, skórę purpurową a całe jej ciało było nienaturalnie rozciągnięte. Jakby pragnęło wrócić na łono ziemi. Śmierdziało niemilosiernie. Rose się wyrzygała.

Kiedy skończyła przetrzała usta i wyjęła zza pasa nóż. Miała tu swoją robotę.

Na strychu było ciemno i prawie się potknęła o leżącego na ziemi mężczyznę. Udało jej się jednak odskoczyć. Podniósł się na łokciach i przetrzał oczy. Fiołkowe oczy.

– Czy to ty Margaret? Dlaczego umilkłaś? – podniósł się na nogi i mrugając oczami rozejrzał się po strychu. Chwiał się jak pijany – synu? Chcesz odwiedzić mamę? – postąpił kilka kroków aż nogi go zawiodły. Upadł z jękiem na kolana i ukrył twarz w dłoniach. Długie skołtunione włosy przykryły mu twarz. Bił z niego smród ekskrementów i moczu.

Rose walcząc z obrzydzeniem przykucnęła obok mężczyzny.

– Proszę pana, ja... Przyszłam po Margaret.

On spojrzał na nią i nagły wyraz czujności rozjaśnił mu twarz.

– Żona chyba gdzieś wyszła, ale nie martw się powinna zaraz wrócić – zaczął roztrzepanym wzrokiem wodzić po strychu. Ile mógł mieć lat? Czterdzieści? Pięćdziesiąt? Wyglądał jak starzec. Nie, bardziej jak trup.

Rose przełknęła ślinę. Bądź silna. Położyła rękę na jego ramieniu.

– Nie sir. Ona nie już nie wróci. Ona nie żyje.

– Nonsens! Przecież była tu przed chwilą. Zaraz wróci. Poproszę Abnera aby wstawił herbatę. Napijemy się i potem omówisz co tam masz do Margaret...

– Proszę pana... niech się pan odwróci.

Zadrzał. Pochylił głowę i zaczął mówić szeptem. Rose musiała wyteżać słuch by go słyszeć.

– Ona mówiła, że wszystko będzie takie jak dawniej, że Bóg nie pozwoli jej cierpieć. Mówiła, że słyszy Jego głos. Mówiła, że jestem heretykiem skoro ja nie słyszę – podniósł głowę. Łzy skapywały mu po policzkach – Tak bardzo chciałem jej uwierzyć. Tak bardzo – zaczął szlochać. Rose wyciągnęła ramiona i przytuliła go. Pozwoliła mu płakać w jej ramie. Kiedy się uspokoił odsunęła go od siebie i spojrzała mu w oczy.



– Sir. Pańska żona odeszła – patrzył na nią beznamiętnie. Najwyraźniej wiedział to już od dawna – trzeba ją odpowiednio pochować – pokiwał głową.

– Co ty tu robisz?! – Głos! Boski głos odezwał się tuż za nimi – Jak śmiesz kalać to miejsce swoją obecnością?! – wyciągnął zza paska długolufowy rewolwer.

– Synu – Lucius Von Markov, pan domu, podniósł się z ziemi i stanął między Edwardem a Rose – opuść broń.

– Zejdź mi z drogi ojcze! Nie pozwolę by ta kreatura dłużej kalała nasz dom!

– Edwardzie, my chcemy tylko pochować mamę – Lucius przybliżył się o kilka kroków.

– ZAMILCZ! Ona żyje! Ona musi żyć! Nie opuściłaby mnie!

– Bóg ją do siebie wezwał synu. Ona Go widziała. Nie potrzebowała nas. My jej tylko przeszkadzaliśmy widzieć – zrobił jeszcze kilka kroków.

– Nie wierzę! Ja... Ja ją ciągle słyszę! Ona...

Lucius skoczył na syna. Zwalił go z nóg i zaczął dusić. Rewolwer Potoczył się po parkiecie.

– Przepraszam synku. Nie mogę pozwolić byś skrzywdził jeszcze kogoś.

– Sza... tan! Bo... że – charczał Edward.

Lucius był jednak słaby i wychudzony. Jego syn szybko go z siebie zrzucił. Uderzył ojca. Potem kolejny raz. Posypał się grad ciosów.

– Giń! Giń! Zdechnij stary diable! Deus Vu...

Wystrzał.

\*\*\*

Rose patrzyła na zachodzące nad oceanem słońce. Opierała się o stary dąb. Tu ich pochowali. Pod tą huśtawką. Emily powiedziała, że to dobre miejsce. Na pewno było piękne.

Rose uśmiechnęła się. Nowa pani domu powiedziała, że może ją przyjąć na stałe. Nawet na to nalegała. Tak. To była dobra wizja. Nowy dom. Miejsce, gdzie jej naprawdę chcą. Gdzie może mieć swoje miejsce. Wyciągnęła z kieszeni malutki zegarek. Jediną rzecz, która ciągle łączyła ją z przeszłością.

Cisnęła go w ocean.